

Masakra w El Mozote

26 lipca 2015

13 grudnia minie kolejna rocznica wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Tradycyjnie będzie ona okazją do negacji PRL – która obok rusofobii stanowi fundament oficjalnej ideologii państwowej – oraz oburzenia wobec „nierozliczenia zbrodni” stanu wojennego. Najbardziej wytrwali – jak np. Krzysztof Wyszkowski – znowu będą żądać „Norymbergi dla czerwonych”. Z ową Norymbergą jest niestety jednak problem, ale zupełnie inny niż to się Krzysztofowi Wyszkowskiemu wydaje. Problem polega na tym, że na tej samej ławie oskarżonych musiałaby też zasiąść druga strona „zimnej wojny”, czyli USA i ich satelici. Dlatego warto cofnąć się do wydarzeń sprzed 33 lat, ale nie tych, które miały wówczas miejsce w Polsce, lecz w Salwadorze.

Warto to zrobić po to, żeby zrozumieć jak naprawdę wyglądały zbrodnie popełnione przez juntę wojskową, jednakże nie tę, która nazywała się Wojskową Radą Ocalenia Narodowego, tylko tę, którą w Salwadorze wspierała setkami milionów dolarów, uzbrojeniem i „doradcami wojskowymi” administracja Stanów Zjednoczonych. Słowem – warto sobie uświadomić czym różniły się rządy wojskowe w „sowieckiej strefie wpływów” od takowych w „amerykańskiej strefie wpływów”. To słabo znane polskiej opinii publicznej zagadnienie przybliżyła po części książka amerykańskiego dziennikarza Marka Dannera pt. „Masakra w El Mozote. Opowieść o deprawacji władzy” (Warszawa 2013).

WOJNA DOMOWA W SALWADORZE

13 grudnia 1981 roku wprowadzono w Polsce stan wojenny i zdelegalizowano „Solidarność”. Spotkało się to z natychmiastową reakcją Stanów Zjednoczonych i państw Europy Zachodniej, które wyraziły święte oburzenie, obłożyły „reżim PRL” sankcjami gospodarczymi i rozpętały niesamowitą kampanię propagandową. Polska i „Solidarność” miesiącami nie schodziły z czołówek amerykańskich i zachodnich mediów. Już 13 grudnia w

amerykańskiej telewizji odbył się pierwszy show pod hasłem solidarności z umęczoną przez komunizm Polską z udziałem samego prezydenta Ronalda Reagana. Stan wojenny w Polsce spadł Reaganowi jak gwiazdka z nieba. Wzniesiona dzięki niemu wrzawa propagandowa całkowicie usunęła z pola widzenia opinii światowej wydarzenie, które miało miejsce dwa dni wcześniej – w piątek 11 grudnia 1981 roku – w salwadorskiej wiosce El Mozote (dosłownie Oset), w zapadłym departamencie Morazán tuż przy granicy z Hondurasem. W tamten piątek wyszkolony i uzbrojony przez Amerykanów salwadorski batalion szybkiego reagowania Atlacatl starł z powierzchni ziemi miejscowości El Mozote, Los Toriles i La Joya, mordując w barbarzyński sposób co najmniej 900 osób obojga płci, od niemowląt po starców. To nie był jakiś makabryczny incydent, ale rzeczywistość wojny domowej w Salwadorze, która została wywołana przy udziale i w interesie USA.

Salwador był przez niemal cały XIX i XX wiek typową bananową republiką Ameryki Środkowej. Nazywano go „krajem czternastu rodzin” albo „kawową republiką”. Większość ziemi uprawnej w tym niedużym rolniczym kraju należała do wąskiej grupy oligarchii – wielkich latyfundystów, głównie właścicieli plantacji kawy, powiązanych interesami z kapitałem amerykańskim – owych czternastu rodzin. Oligarchia sprzeciwiała się jakimkolwiek reformom społecznym, gospodarczym i politycznym. Czternaście rodzin finansowało armię, stojącą na straży ich interesów. Od 1931 roku krajem rządziły nieprzerwanie kolejne dyktatury wojskowe. Brutalne rządy, stanowiące rezultat specyficznego sojuszu wojska i oligarchii, były odpowiedzią na rosnący opór społeczny, w tym głównie ruch chłopski kierowany przez Augustina Farabundo Martí (1893-1932). W styczniu 1932 roku wybuchło w zachodnim Salwadorze powstanie chłopskie, krwawo stłumione po pół roku. Wtedy po raz pierwszy zastosowano masowy terror wobec ludności cywilnej. Rozstrzeliwano całe wsie. Liczbę ofiar szacuje się od 10 do 40 tys.

Sytuacja wewnętrzna w Salvadorze skomplikowała się pod koniec lat 70. XX wieku. Narastający opór społeczny w połączeniu z kryzysem gospodarczym coraz bardziej podkopywał fundamenty dotychczasowego systemu. Zarówno salvadorska oligarchia, jak i USA obawiały się wybuchu rewolucji podobnej do tej, która w Nikaragui zmiotła w 1979 roku rządy klanu Somozów. Krokiem wyprzedzającym był zamach stanu z 15 października 1979 roku, w wyniku którego obalony został nieudolny gen. Carlos Romero. Ustanowiono rządy pięcioosobowej junty wojskowo-cywilnej, początkowo z udziałem dwóch polityków lewicowych. Szybko jednak ich usunięto, a w kraju rozszalał się terror szwadronów śmierci. Na wsparcie salvadorskiej junty administracja Jimmy'ego Cartera przeznaczała 1,5 mln dolarów dziennie. Pomoc ta wzrosła znacząco po objęciu prezydentury USA przez Ronalda Reagana w styczniu 1981 roku. Za amerykańskie pieniądze finansowano nowoczesne uzbrojenie armii salvadorskiej oraz szwadrony śmierci. Organizował je m.in. fanatyczny antykomunista, major Roberto D'Aubuisson – założyciel prawicowej partii ARENA (Narodowy Sojusz Republikański).

Ofiarami szwadronów śmierci byli nie tylko działacze lewicowi, ale także chadecy i wszyscy podejrzewani o jakąkolwiek opozycyjność. Od kul szwadronu śmierci zginął 24 marca 1980 roku podczas celebrowania mszy w szpitalnej kaplicy arcybiskup San Salvador, Oscar Arnulfo Romero (1917-1980) – obrońca praw człowieka i przeciwnik reżimu.

Mark Danner pisze: „Najbardziej widocznymi oznakami „brudnej wojny” były okaleczone zwłoki, które każdego ranka walały się po ulicach miast Salvadoru. Czasami ciała nie miały głów lub twarzy (...). Czasami brakowało kończyn, np. odrąbanych dłoni lub stóp, albo wydłubanych oczu. Rozpłatanne i zakrwawione genitalia kobiet dawały świadectwo wielokrotnych gwałtów, odcięte narządy płciowe mężczyzn często znajdowano w ustach zabitych. (...) Wreszcie zabijanie przekroczyło w zasadzie możliwości wywiadowcze armii i służb bezpieczeństwa, więc zaczęto zabijać na podstawie bardzo prymitywnych profili –

tłumaczył Stanley (prof. Wiliam Stanley, amerykański politolog – uzup. BP). – Pamiętam na przykład, jak usłyszałem, że pewnego ranka odkryto dużą stertę zwłok i – jak się okazało – prawie wszystkie ofiary były młodymi kobietami w dżinsach i tenisówkach. Najwyraźniej ktoś z wywiadu uznał, że ten „profil” – rozumie pan, młode kobiety, które tak się ubierały – pozwala łatwo rozpoznać „lewaków” i w ten sposób ta charakterystyka dołączyła do profili, którymi posługiwano się, by chwytać tak zwanych wywrotowców” („Masakra w El Mozote...”, s. 36-37).

W latach 1979-1981 szwadrony śmierci zamordowały w Salwadorze ok. 32 tys. cywilów. W tej sytuacji lewica salwadorska miała dwa wyjścia: albo dać się doszczętnie wymordować, albo uciekać z miast w góry i rozpocząć walkę partyzancką. Wybrała to drugie rozwiązanie. 10 października 1980 roku powstał Front Wyzwolenia Narodowego im. Farabundo Marti (FMLN). Wbrew temu, co można przeczytać na niektórych polskich prawicowych portalach, nie był on „sowiecką agenturą”. Promoskiewscy komuniści stanowili tylko jedno ze skrzydeł FMLN. Oprócz nich w skład Frontu wchodził także trockiści, guevaryści, umiarkowani marksiści i socjaliści. Informacje o znaczącym wsparciu FMLN ze strony Kuby i ZSRR są przesadzone. Większej pomocy FMLN w zakresie dostaw broni i amunicji udzielili dopiero w drugiej połowie lat 1980. rządzący Nikaraguą sandiniści.

ZBRODNIA W EL MOZETE

W Salwadorze rozpoczęła się krwawa i niezwykle brutalna wojna domowa (1980-1992), która pochłonęła ok. 80 tys. ofiar w kraju liczącym sześć milionów mieszkańców. Przeciwno partyzantce FMLN, liczącej w 1980 roku ok. 4 tys. ludzi, skierowano znaczące siły wojskowe wspierane przez USA uzbrojeniem, wyszkoleniem i tzw. „doradcami wojskowymi”. Salwadorska junta wojskowa otrzymała od administracji Reagana ok. miliard dolarów na walkę z partyzantką. W Salwadorze przebywało stale kilkuset „doradców wojskowych” USA. Zajmowali się oni nie

tylko szkoleniem miejscowej armii, ale niejednokrotnie sami kierowali operacjami przeciwko FMLN. Wielu z nich bezpośrednio uczestniczyło w walce, m.in. jako piloci samolotów i śmigłowców dokonujących pacyfikacji terenów objętych guerillą.

W pierwszym etapie wojny domowej (1980-1983) podstawą taktyki zwalczania partyzantki były masowe zbrodnie na ludności cywilnej. Miały one na celu sterroryzowanie społeczeństwa i odcięcie FMLN od jakiegokolwiek wsparcia z jego strony. Niemal każda operacja przeciwpartyzancka była faktycznie ekspedycją karną przeciwko ludności cywilnej. Zabijano przy tym każdego kto znalazł się w zasięgu takiej operacji, bez względu na to czy w rzeczywistości popierał FMLN czy nie. Wspomniany prof. W. Stanley taktykę tę nazwał „zabijaniem strefowym”.

Do największej z takich masakr doszło w grudniu 1981 roku na terenie departamentu Morazán, w El Mozote i okolicznych wioskach. Ofiarami tej zbrodni padli ludzie całkowicie niewinni, którzy nie mieli nic wspólnego z partyzantką ani nawet z lewicą w ogóle. Mieszkańcy El Mozote byli bowiem ewangelikami, a ta wspólnota wyznaniowa odznaczała się konserwatyzmem i co najmniej rezerwą wobec lewicy. Poparcia lewicowej partyzantce udzielali wyłącznie katolicy, wśród których popularna w tamtym czasie była teologia wyzwolenia.

Zbrodni w departamencie Morazán dokonano w ramach tzw. Operacji „Odsiecz” (8-13 grudnia 1981). Partyzanci z FMLN uzyskali informacje o planowanej operacji poprzez swoje źródła wywiadowcze w armii. Pozwoliło im to opuścić departament Morazán jeszcze przed rozpoczęciem operacji. W tej sytuacji operacja przeciwpartyzancka zamieniła się w masakrę cywilów. Taki był najprawdopodobniej jej rzeczywisty cel. Wśród mieszkańców gminy Arambala, którzy nie opuścili swych siedzib razem z partyzantami (bo nie popierali FMLN) wojsko rozpowszechniło bowiem informację, żeby zgromadzili się w El Mozote, a nic złego im się nie stanie.

Zbrodnia w El Mozote była dziełem specjalnego batalionu

szybkiego reagowania Atlacatl. Była to jednostka całkowicie wyszkolona i wyposażona przez Amerykanów. Jej dowódcą był podpułkownik Domingo Monterrosa – fanatyk szkolony do walki z ruchami lewicowymi w USA i na Tajwanie. Wiedza o tym, co stało się w El Mozote w piątek 11 grudnia 1981 roku, opiera się głównie na relacji jedynej ocalałej osoby spośród blisko tysiąca ofiar. Była nią Rufina Amaya (1943-2007), która zdołała się ukryć. Oprócz niej świadkami było kilku mężczyzn z miejscowości Perquin, wziętych przez wojsko za przewodników.

Oto kilka cytatów z książki Dannera: „Okolo godziny ósmej żołnierze podnieśli z podłogi niektórych mężczyzn zebranych w kościele i obcięli im głowy maczetami – podaje raport Tuteli (...). Obcinanie głów jest nużącym i powolnym zajęciem, a w niedużym budynku stłoczono ponad setkę mężczyzn. Po pierwszych egzekucjach – nie jest jasne ile osób zginęło w kościele – żołnierze zaczęli grupkami wyprowadzać jeńców na zewnątrz (...). Widziałem, jak prowadzą mniej więcej dziesięcioosobowe grupy mężczyzn – opowiadał mi jeden z przewodników. – Wszyscy mieli zasłonięte oczy i ręce związane za plecami. Potem słyszeliśmy wystrzały, serie z karabinów. (...) Z domu Alfreda Márqueza żołnierze powiedli młode kobiety i dziewczynki – niektóre miały zaledwie dziesięć lat – poza granice osady (...). Wkrótce kobiety zgromadzone w domu słyszały wrzaski dobiegające ze wzgórz. (...) Słyszeliśmy, jak gwałcą kobiety na wzgórzach – opowiadał mi przewodnik z Perquin. – A później żołnierze przechodzili obok, wracając stamtąd, i rozmawiali o tym. Gadali i żartowali, mówili, jak im przypadły do gustu dwunastolatki. (...) Nie mogłam się poruszyć, nie mogłam nawet płakać – opowiada Rufina. (...) Cała grupa znajdowała się ciągle przed domem: kobiety czepiały się siebie nawzajem i obejmowały, próbowały stawiać opór. Wreszcie żołnierze wepchnęli kilka z nich do domu. Nie mogłam zajrzeć do środka, ale usłyszałam wystrzały i krzyki. (...) Nieco później, kiedy – jak się zdawało – żołnierze skończyli pić oranżadę, Rufina posłyszała, jak w domu Alfreda Márqueza podnoszą się płacz i krzyki – krzyki dzieci. Wołały: Mamo! Mamo! Robią nam krzywdę!

Pomóż nam! Kaleczą nas! Duszą nas! Pomóż! Potem usłyszałam wołanie jednego z moich dzieci. Mój syn Cristino wołał: Mamá Rufina, pomóż! Zabijają mnie! Zabili moją siostrę! Zabijają mnie! Pomóż mi! (...) Rufina nie widziała dzieci; słyszała jedynie ich krzyki, kiedy żołnierze natarli na nie, rąbiąc maczetami i miażdżąc im głowy kolbami karabinów” („Masakra w El Mozote...”, s. 82-88).

Najmłodsze dzieci – poniżej drugiego roku życia – nabijali na bagnety. Czy tego nauczyli się na szkoleniach prowadzonych przez „doradców” z amerykańskich Sił Specjalnych i kursach zwalczania partyzantki na Tajwanie? Tego Mark Danner już nie wyjaśnia. Po wymordowaniu mieszkańców i osób, które uwierzywszy w zapewnienia armii schroniły się w El Mozote, żołnierze batalionu Atlacatl spalili osadę. Zabili też cały inwentarz żywy. Wszystko, co żyło w wiosce zostało wymordowane z wyjątkiem jednej 38-letniej kobiety, która ukryła się w gęstwinie ciernistych krzewów.

Osiem miesięcy później – w dniach 21-22 sierpnia 1982 roku – batalion Atlacatl dokonał identycznej masakry w miejscowości El Calabozo, podczas operacji przeciwpartyzanckiej w departamencie San Vicente, mordując ponad 200 cywili.

Następnie zmieniono taktykę. Żeby nie budzić zainteresowania opinii światowej mordowano jednorazowo już nie po kilkaset ale po kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt ofiar. Terror trwał do końca dwunastoletniej wojny salwadorskiej, wywołanej nie przez FMLN, ale przez miejscową oligarchię i USA. Nikt za te zbrodnie nie odpowiedział. Porozumienie pokojowe w Nowym Jorku z grudnia 1991 roku jako warunek uznania FMLN za legalną partię polityczną przewidziało bowiem generalną amnestię. Niby dla obu stron wojny, ale faktycznie chodziło o szwadrony śmierci i batalion Atlacatl.

NEGOWANIE ZBRODNI PRZEZ USA

Każda zbrodnia ludobójstwa i każda zbrodnia wojenna ma trzy

fazy: planowanie, przeprowadzenie oraz negowanie i zacieranie śladów. W wypadku zbrodni w departamencie Morazán wykonanie tej ostatniej fazy przypadło w udziale głównie Stanom Zjednoczonym. Negowanie zbrodni i zacieranie śladów zaczęło się już w trakcie jej popełniania przez batalion Atlacatl (spalenie budynków wraz ze zwłokami ofiar, rozpowszechnianie bajeczki o rzekomej „bitwie” z partyzantami w El Mozote). Jednakże to amerykańska administracja Ronalda Reagana wzięła na siebie główny ciężar negacji tej makabrycznej zbrodni. Nie było to rzeczą łatwą, ponieważ relacje o zbrodni z 11 grudnia 1981 roku wraz ze zdjęciami spalonych i zdeformowanych zwłok pojawiły się na pierwszych stronach „New York Timesa” i „Washington Post” sześć tygodni później. A jednak rząd amerykański wraz z salwadorską juntą uparcie twierdził, że nic takiego nie miało miejsca. Uruchomiono ogromną i kosztowną maszynę propagandy, urzędowych kłamstw i manipulacji, żeby przekonać amerykańską i światową opinię, że masakra w El Mozote to wymysł „komunistów”. Dopiero ekshumacje przeprowadzone w 1992 roku i oficjalne przesłuchanie nielicznych świadków rozwiąły wszelkie wątpliwości.

Administracja Reagana wiedziała o zbrodni w El Mozote zanim pod koniec stycznia 1982 roku pojawiły się publikacje w amerykańskiej prasie. Agenci CIA byli bowiem obecni w obozie, z którego batalion Atlacatl wyruszał na Operację „Odsiecz” i nie można wykluczyć, że z góry wiedzieli o zamierzonej zbrodni. Mimo to administracja Reagana do końca konsekwentnie jej zaprzeczała. Wyjście na jaw prawdy o El Mozote w 1982 roku oznaczałoby bowiem wstrzymanie przez Kongres pomocy finansowej dla salwadorskiej junty. To z kolei oznaczałoby zwycięstwo FMLN. Do tego Reagan nie mógł dopuścić. Komunizm musiał przecież zostać pokonany za wszelką cenę. Ku chwale ludzkości. Wnioski na dzisiaj

Dzisiaj wiemy, że władze USA wiedziały nie tylko o El Mozote, ale także o salwadorskich szwadronach śmierci, jak również o zbrodniach popełnianych przez junty Argentyny, Boliwii,

Brazylii, Chile, Panamy, Paragwaju, Peru, Kolumbii i Urugwaju. Dzisiaj wiemy, że w rezultacie koordynowanej przez CIA tzw. operacji „Kondor” służby specjalne proamerykańskich reżimów Ameryki Południowej zamordowały od 50 do 80 tys. osób posądzanych o działalność bądź tylko sympatie lewicowe. Ta wiedza musi skłaniać do wniosku, że nie było czarno-białego obrazu „zimnej wojny”, takiego jak w Polsce rysuje oficjalna propaganda potępiająca stan wojenny i PRL.

Nie ma również czarno-białego obrazu obecnej „postzimnowojennej” polityki amerykańskiej, w tym tzw. „wojny z terroryzmem” i „kolorowych rewolucji”. Sceny, które rozgrywały się ćwierć wieku temu w Salwadorze, rozegrały się niedawno w Iraku i Afganistanie. Polityka amerykańska nie zmieniła się od czasów „zimnej wojny”. Jest tak samo cyniczna i bezwzględna w dążeniu wszelkimi środkami do założonego celu. Widzimy to dzisiaj też na Ukrainie.

Polscy czciciele wielkości i wspaniałości Stanów Zjednoczonych nie podejmują żadnej dyskusji na ten temat. Mało tego, perfidnie dezinformują polską opinię publiczną. Mam na myśli m.in. te wszystkie publikacje gloryfikujące dokonania gen. Augusto Pinocheta. Potępiające Jaruzelskiego i stanu wojennego mają do PRL pretensje nie o dyktaturę, ale o to, że była „prosowiecka” (prorosyjska). Gdyby tylko mogli, sami chętnie sięgnęliby po metody rządzenia Pinocheta i innych „zimnowojennych” dyktatorów Ameryki Łacińskiej. Na razie z „dobrodziejstw” chilijskiego generała zafundowali Polakom Otwarte Fundusze Emerytalne i oby na tym się skończyło. Dlatego książka Marka Dannera wypełnia wielką lukę w polskiej wątpliej wiedzy na temat tego, co działo się w Ameryce Łacińskiej ćwierć wieku temu. Wiedza ta jest w Polsce niemile widziana, o czym świadczy usunięcie przez nieznanego sprawcę z polskiej Wikipedii informacji o masakrze w El Mozote. Jeszcze pół roku temu tam była.

Autorstwo: Bohdan Piętka

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)